



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:  
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po-  
cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartal-  
nie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.  
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.  
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.  
W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na provin-  
cyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.  
W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1  
sgr. 20.

### ZACZAROWANA KRÓLEWNA.

Zaczarowana królowna  
W mirtowym lasku drzemie;  
U nóg jej lutnia śpiewna  
Zsunęła się na ziemię;

Niedokończona piosneczka  
Uśmiechem lśni na twarzy;  
Drżą jeszcze jej usteczka—  
O czemś, rozkosznem marzy.

Marzy o jednym z rycerzy,  
Że idąc przez odmgęty,  
Do stóp jej tu przybieży  
I przerwie sen zaklęty.

Lecz rycerz, co walczył dla niej,  
Ten mężtwo swe przecenił—  
Zabłąkał się w otchłani....  
I zwątpił.... i skamieniał.

*El-y.*

### O TEM I OWEM

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

Wybór zawodu.

Do ważnych zagadnień chwili obecnej zaliczyć należy pytanie: do jakich zawodów kształcić mają

synów swych rodziny nasze, te szczególnie które jeszcze nie posiadają tradycyi pracy, które dotąd używały dobrobytu zdobytego przez przodków tak dawno temu, że pamięć ich trudu już się prawie do szczytu zatarła?—a mianowicie: czy obowiązkiem rodziców dać synom najwyższe wykształcenie, na jakie ich materyalne pozwalają środki i przyspasać im do najwyższych zawodów? czy też przeciwnie tłumiąc głos miłości własnej, wieść dzieci swe ku zawodom niższym, obiecującym byt skromny, lecz pewniejszy, narażającym mniej na pokusy, walki i próby.

Zanim się postaramy o rozświetlenie tego, ważnego bezwątpienia pytania, rzucić musimy inne, a mianowicie: czy ogół u nas jest przekonany o potrzebie usposabiania każdego młodego człowieka do pewnego zawodu? a dowiemy się, że to przekonanie nie zrosło się jeszcze wcale ze wszystkimi warstwami naszego społeczeństwa. Zapewne w mieszczaństwie naszym, w pewnej liczbie rodzin szlacheckich z ojca i dziada na synów i wnuków przeszła tradycya pocteiwej pracy, nauki, rządności, lecz niemniejszą jest prawdą, że znaczna liczba rodzin szlacheckich pamiętna dawnej zamożności i łatwego a od trosk wolnego życia, zdaje się uważać dobrobyt za rzecz sobie należną bez pracy i wysiłen, a poniżeniem jest w jej oczach imanie się zarobku, lub przygotowywanie do niej synów. Narzeka ona na upadek zamożnych rodów, ubolewa nad nim, winę tego zjawiska składa na daleką przeszłość lub okoliczności od niej niezawisłe, jakby nie widziała, że wszelkie zawody stoją przed nią otworem, a każda ucziwa praca podnosi materyalnie i moralnie. Nieraz ojciec kilku synów i córek, posiadający zaledwie okrucy majątku w ziemi, nie wystarczające na potrzeby rodziny, synów kształci mało, niedbale, niefachowo, bo ani jego samego nie stać na danie im wysokiego ukształcenia wiodącego do zawodów zaszczytnych i karyer świetnych, ani też synowie nie posiadają zdolności odpowiednich, a przecież ojciec taki nie może się

zdobyć na odwagę sposobienia dzieci do zawodów skromniejszych, zrywających z tradycyą, która pracę ludzką w bardzo ciasnem kole zamykała. Podczas, gdy ojciec zamożny troszczy się nieraz o to, jaki zawód syn jego obierze, bo się boi by marnie nie spędził życia, ojciec walczący niemal z nędzą, otoczony liczną rodziną, ani chce słyszeć o tem, aby synowie jego „czemś byli“. Inni narzekają na brak zawodów w kraju naszym, porównyując go do krajów obcych, gdzie ich tyle stoi każdemu otworem, a narzekają, jakgdyby synowie nasi nie mogli być uczonymi, artystami, pisarzami, profesorami, kupcami, przedsiębiorcami, fabrykantami, rolnikami i rzemieślnikami, stosownie do możności, uzdolnień i ukształcenia? I jakże niema narzekać ten biedny ojciec, gdy dorastający synowie nie kończą nauk, funduszów niema, a wstyd fałszywy i dziwna nieporadność nie pozwala zwrócić dziecka ku zawodowi niższemu społecznemu, lecz zapewniającemu byt spokojny i ucziwy. Mówimy wprawdzie z szyderstwem o przesądach arystokratycznych i głośno wyznajemy demokratyczne zasady, ale z tem wszystkim wolemy widzieć syna naszego walczącego z niedostatkiem, znoszącego z nim wszystkie połączone materyalne braki, a co gorsza moralne poniżenia, upokorzenia i pokusy, aniżeli pogodzić się z myślą, że go ujrzymy kiedyś rzemieślnikiem, kupcem, fabrykantem. Życiem nad stan przyzwyczajaliśmy dziecko swe do dobrobytu, a nie pozwalamy mu go zdobywać pracą własną i sami własnymi środkami zapewnić go nie jesteśmy już w możności.

Boli i zasmuca widok tych rodzin, cierpiących za same siebie i gotujących cierpienia przyszłym pokoleniom, przez wdrażanie umysłów młodocianych w tory zgubnych wyobrażeń. Cheiałoby się przełać własne przekonania w te biedne błędzące dusze, pełne dobrych chęci, lecz z woli obrane, bo te przekonania jak czarodziejskie słowa wielomocnych zaklęć naraz ulżyłyby barkom ciężaru, zapewniłyby starosć pogodną, a dzieciom dały spokój i godność życia. Dodając do tradycyi poświęceń zdołającej



dzieje rodowe, zasługę pracy rozumnej, wytrwałej, owianej ciepłem serdecznym, rodziny w bycie majątkowym zachwiane, ochronią się od ostatecznego upadku, jaki im grozi. Wypłyne z tego ważna korzyść dla społeczeństwa. Przez wprowadzenie nowego szlachetniejszego żywiolu do działalności ekonomicznej społeczeństwo zabezpieczeniem zostanie od rozwoju jednostronnie materyjalnego, równie zgubnego jak był dawniej rozwój jednostronnie uczuciowy.

Przypuśćmy na chwilę, że wszyscy rodzice pojmują potrzebę dania swym dzieciom zawodowego ukształcenia i zbadajmy skąd pochodzi wątpliwość: czy należy synów sposobić ukształceniem najwyższym do zawodów najszlachetniejszych, czy raczej rozmyślnie zmuszać ich do poprzestawiania na jak najskromniejszych?

Dążenie w górę wrodzoną jest i piękną żądzą człowieka — szpeci ją chyba pragnienie wyłącznie materyjalnego wywyższenia, lub takie jej nieumiarkowanie, iż dla niej zapominamy o Boskich i ludzkich prawach. Najpiękniejszym objawem tej dążności jest pragnienie ujrzenia swych dzieci wyższymi od siebie. Oderwane pojęcie rzeczy kazałoby nam pragnąć jedynie duchowej ich wyższości, ponieważ jednak wpływ ludzi i ich działalność wielce zależą od położenia ich społecznego i zamożności, przeto pragniemy widzieć je nie tylko lepszymi i rozumniejszymi od siebie, lecz nadto jeszcze posiadającymi większe mienie, zajmującymi wyższe społeczne stanowiska. Postęp ludzkości w tem się dążeniu zawiera, jak dąb w drobnej żółędzi. Dla czegoż mielibyśmy gwałt czynić wrodzonemu, a tak szlachetnemu uczuciu? dla czego, gdy podziwiamy biednego kmiotka, wyrobnika, odmawiającego sobie pierwszych potrzeb życia, byle tylko syna na *piśmiennego* wykie rować, gdy rozczulamy się widokiem tego starca zestawiającego w dumie najzacniejszej rozum syna z własną niewiadomością, widokiem tego syna uznającego duchową podniosłość ojca — dla czego, powtarzam, my zamożniejsi, ukształceni, nie mielibyśmy poświęcić reszty naszego mienia na to, aby syna usposobić do zawodu szlachetnego, by go widzieć równym sobie, a nawet wyższym duchowo i moralnie?

Dla tego, odpowiadają nam, że wrodzoną nam jest chęć wyniesienia się, zrównania z wyższymi na społecznej drabinie, chociażby z pominięciem najważniejszych, najdroższych dla człowieka względów. Ztąd wynikać ma, że gdy raz pozwolimy synowi swemu postawić nogę na pierwszym szczeblu drabiny wiodącej do zaszczytów i mienia, nie pozostanie on już na dole i pięć się będzie coraz wyżej, ale pięć namiętnie i niecierpliwie w górę, nie zważając jakim środkiem zawdzięczy szybkie wyniesienie się, jak drogiemi moralnemi skarbami je przyplaci. Przeciwnie, kto z młodu usposobi syna do zawodu skromnego, ten zamknie mu wszelką wyniesienia nadzieję, zmusi go do pracy skromnej, do poprzestawiania na małym, oszczędzi mu walk z samym sobą i ze światem, niejedną oden oddali pokusę.

Mylne to zdanie. Sprzeciwia się ono wrodzonemu szlachetnemu popędowi człowieka, sprzeciwia się prawu postępu i doskonalenia, jakie Bóg ludzkości nakreślił, grozi, w razie ogólniejszego wprowadzenia w życie, nienaturalnym rozwojem społeczeństwem. Zdanie to opiera się na niepoznaniu istotnej przyczyny wiodącej u nas wiele jednostek i rodzin, przez życie bezcelowe, próżne, marnotrawne, nieprzezorne do upadku, grożące uwiecznieniem tych błędów przez tradycyjne onych przekazywanie.

Nie! nie wysokie ukształcenie dawane synom, nie sposobienie ich do wyższych zawodów, budzi w nich żądę wyniesienia się i bogactw, wpaja nawyknięcia zbyt kowe — ale zgubna tradycja rodzinna, nie pozwalająca im wcześniej powiedzieć, że nie mogą liczyć na mienie rodzinne, że ich przyszłość leży w ich ręku, zależy od ich rozumu i woli; ale obyczaj nakazujący ukrywać zubożenie, ponosić tysiące trosk i upokorzeń, patrzeć wciąż w przepaść coraz głębszą, a nie zmienić sposobu życia, nie wyrzec się jednego zbytku, jednej wygody, jednego próżności poszeptu. Wszak w tych rodzinach, dziecię nie zna głosek jeszcze, a już przywykło do zbytku i wygod, do wykwintu i usługi, już do nich wartość przywiązuje, już ich spodziewa się i żąda, a nieraz dochodząc już do wieku młodzieńczego, nie wie jeszcze, że niczem dlań ta odrobina ukształcenia jaką posiadało, je-

żeli nie zdoła niejednej sobie rzeczy odmówić, zdobyć się na wysilenie i wytrwałność, na małym poprzestać. Dziecko żyjąc wśród wygod, pewne, że je zawsze bez trudu mieć będzie, nie wie, iż udział, jaki mu się dostanie z rodzicielskiego mienia, przedstawiając tylko niewielką jego cząstkę, nie wystarczy na wygodki do których nawykł, a jeżeli (jak się nieraz dzieje), rodzina żyje resztkami mienia, wśród złoczonej nędzy, dziecię chociaż słyszy narzekania na złe czasy, nie pojmuje znaczenia tych wyrazów ani zobowiązań, jakie nań wkłada życie, bo widząc kłopoty, nie widzi ani pracy zdrowej, ani oszczędności zaprowadzonej, ani zbytku ukruczonego, ani rozumnego obmyślenia jutra. Dla tego do ukształcenia pewne dane synowi biednej pracującej na chleb rodziny inne najczęściej przynosi owoce, aniżeli takie same, a nawet obfite udzielone synowi rodziny, fałszywą tradycją próżności i zbytku przesiąkniętej. Gdy biedni, bardzo biedni rodzice upatrzysz w synu jakąś zdolność, lub nadewszystko je ukochawszy, zamarzą dlań o zawodzie wyższym nad pracę rąk, chłopak chociaż chowa się boso, jada chleb czarny i kaszę, słyszy niemniej od dzieciństwa, że pójdzie do szkoły i jeśli się zechce pilnie uczyć zostanie adwokatem, księdzem, doktorem, będzie nosić suknie pańskie i kłaniać mu się będą i o radę go pytać i matka na starość nie będzie się męczyć w kuchni i ojciec spracowany odpocznie, a wszystko zawdzięcza jemu, jemu tylko „swej dumie i pociesze“. W 5-m roku wdzieją malcowi buty, wkładają mu kawał chleba do koszyka i posyłają go na 5 godzin do szkoły ludowej. Chodzi tam, słuca, męczy się biedactwo, wraca w mróz i zawięje do domu, skracając sobie drogę ślizganiem się i robieniem śnieżków, nikt mu nie pomaga, nikt nie tłumaczy mu miejsce trudnych, nikt nie ochrania go od niebezpieczeństw ulicznych, lecz właśnie to odosobnienie, to pozostawienie samemu sobie hartuje chłopczyne. Dostaje się wreszcie do gimnazjum. Tu nietylko że na żadną pomoc liczyć nie może, lecz zaledwie ukończył początkowe klasy musi godziny wolne od nauki, nieraz późne wieczorne godziny, poświęcić dawanu korepetycyi zamożniejszym dzieciom, bo rodzice nie są w stanie opędzić wzrastających jego potrzeb. Ale to go nie zraża: on widzi piękny, jasny cel przed sobą i do tego celu niezmordowanie dąży. I po latach wielu pracy, trudu, cierpienia, urzeczywistnia nadzieje rodziców, zostaje adwokatem, profesorem — nieraz zdobywa sławę. Dla czego? Bo od dzieciństwa znał jasno swe położenie i cel swego życia, bo wzrósł wśród pracy i niedostatku; trudu się nie lękał, wygody nie potrzebował; nie marzył o tem, ażeby mu zawód obrany odrazu zapewnił dobrobyt, spokój, wziętość — przeciwnie, tych się spodziewał dopiero przy schyłku życia, po szeregu wytrwałych wysilen!

A paniczek, z tradycyi jeżeli nie z imienia, dla czego tak często zawodzi rodziców nadzieje, pomimo wczesnej, obfitej, ułatwionej nauki? Zawodzi on je dla tego, że nie zna od dzieciństwa położenia swego, obowiązków jakie go czekają, potrzeby wystarczenia sobie, wywalczenia sobie bytu, stanowiska i znaczenia, zbyt kownem i wygodnem życiem zmięczony, do trudu i wysilenia niezdolny, nieraz nawet nauk ukończyć nie jest w stanie, a jeśli mu się to uda, zamiast chwycić czempredzej zawod jaki i korzystając z ułatwień zapewnionych przez rodzinne stosunki, szybkie czynić postępy — woli czekać, ażali mu los się nie uśmiechnie bez jego udziału, w postaci panny posażnej lub szcudrośliwego krewnego. Nie chwyci zawodu, bo każdy zawód zrazu wymaga wiele pracy, a skromnie ją nagradza, paniczek zaś ma wstręt do pracy, a dla zaspokojenia swych licznych wymagań, obfitego potrzebuje dochodu.

Ostatnią wreszcie przyczyną dla której wiele ojców nie kształci synów swych zawodowo, a wiele młodzieży szlacheckiej przekłada życie próżne, kłopotliwe i bez zasługi, jest trwające jeszcze uprzedzenie przeciw łokciowi i garnocowi, jak dawniej mawiano, jest bojaźń niezawsze nieuzasadniona, że zawodowa praca nietylko często nie zapewnia szacunku, lecz nawet nieraz niejedne drzwi zamyka, paraliżuje uprzejmość niejednej gospodyni domu, ziębi niejedno młode serduszek. Niemasz zawodu któryby się nam niestosownie wydawał, gdy oddający mu się na skrzydłach fortuny, czy też potęgą własnej zasługi, wzniósł się z jego pomocą na szczyt milionowego stanowiska, lub niezwykle zyskał rozgłos. Lecz iluż-

to stojących u pierwszego kamienia tej drogi nie wydaje się nam pogardy lub lekceważenia godnymi? A jednakże jakże stanąć na wyższym szczeblu nie przeszedłszy niższych? Każdy ojciec niezamożny z radością widziałby nazwisko syna na znakomitej firmie handlowej, ale jakże syna posyłać do szkoły handlowej, widzieć go za stołem w sklepie, przy kantorze buchhaltera, lub warsztacie mechanika — nigdy! A przecież niejedni dziś bogaty kupiec i przemysłowiec, a jeśli nie on sam to jego ojciec lub dziad przyszedł do miasta naszego, z malutkiem zawiniątkiem pod pachą, jako jedynym mieniem — i twardą żelazną pracą byt z początku, następnie już majątek sobie zdobywał. Niejedni biedak kłopotający się na okrucach wioseczki, zazdrości adwokatom i lekarzom ich pięknych dochodów, ale widzieć syna odbierającego zapłatę za wizytę, śleczącego nad zawiłymi sprawami — toć wstrętne przeciw! Bahl! gdyby to wiedzieć można, że syn zostanie odrazu znakomitością. A przecież i te znakomitości od maluczkich i skromnych prac zaczynały.

Poznawszy powody, dla których tak mało synów niegdyś zamożnych rodzin wchodzi na drogi zawodowej pracy i w niej powodzeniem się cieszy, przekonawszy się że nie odowodzić nam rodziców od dawania synom jak najwyższego ukształcenia należy, lecz przypominać im, że na nie się ono nie przyda, jeżeli jednocześnie nie posiadają zasad zdrowych i słusznych o życiu wyobrażeń, jeżeli im wcześniej a szczerze nie przedstawimy położenia materyjalnego rodziny i z życia jej wynikających obowiązków, a przedewszystkiem, jeśli w tem życiu rodzinnym przykładem własnym nie wpojmy w dzieci nasze skromności w żądach, wytrwałości w pracy, oszczędności rozumnej, pełnego godności wystarczania sobie.

W pewnym wieku trudno się otrząść z wad i nawyknień, wśród których się wzrosło, ale warto zdobyć się na to wysilenie — z uwagi, że inaczej błędy, którym przypisujemy znaczną część bied naszych wytepić się nie dadzą. Bo i jakże żądać od synów mocy, woli i wyrzeczenia się na które nie zdobyliśmy się sami? Rodzice nieukształceni mogą dać ukształcenie synom, lecz cóż poczną lubiący wygodki i zbytki, by i syn również nie nawykł do nich? Mogą otoczeni liczną usługą, dogadzający swemu podniebieniu, zadość czyniący w stroju swej próżności, odmówić tychże wygod i przyjemności, synowi tak, aby nie wzbudzić jego niechęci, nie wydać mu się samolubami? A jeżeli syn tylko lat kilka wśród takiego życia przepędzi, już doń nawyknie i tęsknić doń będzie.

Cheąc przeto o ile w naszej mocy, jasną przyszłość zgotować młodemu pokoleniu, należy przedewszystkiem wrócić do właściwego rodzinnego i społecznego życia, przez trzeźwe pojmowanie materyjalnego swego położenia i zastosowywanie swych potrzeb do środków. Jeżeli przeszłość tak cięży nad teraźniejszością, że okrucy zachowanego mienia nie wystarczają na opędzenie potrzeb rodziny, na jeden cel tylko nadwężajmy swe mienie: poświęcajmy je na to, aby dać gruntowne, chlebobajne wykształcenie synom i córkom swoim. Nie materyjalny to pogląd na rzeczy wiedzie nas do tej troski o byt, bynajmniej; wiedzie do niej pragnienie zachowania każdego człowiekowi jego godności i niezależności duchowej z dostatnim bytem materyjalnym ściślej, niż niejednemu umysłowi wydać się może, złaczonej.

A jeśli zgola nie mamy mienia, choć je mieli ojcowie nasi, nasi rodzice, choć byśmy sami wśród dobrobytu wzrosli, nie pogardzajmy żadnem zajęciem, niech nam żadne zbyt skromnem i twardem się nie wydaje. Sami nagiąwszy się do pracy ciężkiej, do życia skromnego, biednego może, zgotujemy sobie starość spokojną, za dzieci nasze te bole przeniesiemy, bo wychowując je wśród pracy i ubóstwa, uzdolnimy je do walki życiem. Przeciwnie, uporczywym łudzeniem siebie co do stanu naszego mienia, wyczerpywaniem jego resztek, nadużywaniem łaski zamożnej rodziny lub wspaniałomyślnych ludzi, niezerwaniem w porę z dawnym życiem, gotujemy sobie starość pełną zawodów i upokorzeń, a swoim dzieciom, życie skazane na próżne skargi narzekania — życie, w którym powtórzyć się będzie musiało nasze zaślepienie i nasza nieradność.

(Dokończenie nastąpi).



# NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg.)

Dalsza treść Zofii i Emilii. — Władysław w Brzozowie. — Panna Kunegunda. — Pokój panny respektowej. — Władysław w Topolówce. — Pokój Emilii. — Małżeństwo Emilii. — Śmierć Zofii. — Poprawa Delfiny przez nieszczęście.

Takie autorka daje nam wspomnienie o słynnej *Leczny* z jarmarków przed półwiekiem blisko, malowidło wierne i pełne prawdy.

Władysław po krótkim pobycie przypadkowym na kiermaszu, odwiedza sędziwego *Cześnika* w pobliżu mieszkającego.

Wraca wreszcie do starego pałacu w *Brzozowie*, w którym przeskałał dziecinne lata.

Drogie go wspomnienia otaczają, chociaż się zasnuć, zobaczywszy brukowany dziedziniec zarastający trawą—boleśna wróżba opuszczenia i ruiny dla wiekowego gmachu. Ale Władysław nie da mu upaść.

Osiwiałego i pochylonego laty szafarza Tomasza wita jak dawnego przyjaciela, z nim przechodzi pustą komnaty pałacowe.

„Przeszli przez wielką salę jadalną, marmurem wyłożoną, portretami familijnymi ozdobioną i obszerny pokój bawialny, zielonym adamaszkiem wybity. Stało tam jeszcze duże na kółkach krzesło wojewodziny, na stoliku jej szkatułka do *drezlowania*, a przy niej srebrny dzwonek. Zbliżali się do drzwi jej sypialnego pokoju, ale klucz w zamku przez starego Tomasza nieśmiało obracany, nie zdawał się właściwym do otwarcia; gdy nareszcie przywołałszy na pomoc Władysława, roztworzył podwoje, odwrócił poceziwy starzec twarz zalaną łzami, te ciche wyrzekłszy słowa: „*Tu nasza pani umarła*“.

Pochwały dawane przez tegoż Tomasza *Emilii*, żywo młodemu dziedzica wzruszyły, kiedy usłyszał te wyrazy z zapalem wypowiedziane:

— Ona to, ona tak będzie dobra jak nasza nieboszczka pani.

Nazajutrz poszedł odwiedzić pannę Kunegundę, *respektową pannę* zmarłej wojewodziny, jej całym sercem oddaną, którą przypominał sobie z lat dziecięcych i jej przywiązanie jakie mu okazywała.

Sędziwa starowina, przyjęła go z radośnym uniesieniem, przybrana w duży kornet z czarną kokardą i garniowanym staroświeckim *dezabilku*.

Gdy panna Kunegunda robiła przygotowania do przyjęcia młodemu dziedzica, ten miał sposobność przypatrzeć się jej pokojowi. Przewodziny ten ustęp w całości, jako malownicze uzupełnienie charakterystyki *starych panien*, który podaliśmy już wyżej.

„Był on zupełnie w starodawnym guście — pisze autorka — sklepiony i z kratami w oknach, malowanych ścian, poplamionych wilgocią, gdzieś tylko znać było zielonkawy kolor, z lepiej zachowanym cokolwiek na około figlarnym arabeskiem, w którym dawniej pospolitym gustem, dziwnie widać było połączone ryby i bukiety z kwiatów, lwy i wazony, bociany i altanki. Kanapka, stołki i firanki były z białego *sycu*, w duże ciągnione z piwonii girlandy. W alkwie stała za karmazynowym *pawilonem*, z garniowanymi poduszkami, wysoko posłane łóżko panny Kunegundy, a w głowach duży krucyfiks i Matki Najświętszej obraz. Z jednej strony wianek poświęcony na *Boże Ciało* i krzyż z gromnicą, z drugiej na haczyku, z podłożoną pod spód atlasową żółtą poduszczyką, w staroświeckiej zielonej kopercie zegarek, od którego wisiał tombakowy łańcuch z dewizkami. Przy łóżku stały *patynki* na małych stołeczkach (gatunek pantofli kobiecych) i dwa wyprostowane krzesła, zieloną wypelzłą *trypą* obite, na których leżały: czarna *drojetowa* szeroka suknia i tegoż koloru kijałkowy pólalopek, strój żalobny, za oszczędzone

zasługi sprawiony przez pannę Kunegundę na pogrzeb pani i odtąd ciągle przez nią noszony. Na przeciw łóżka, gdyż wszystko w tym pokoju podwójną symetrią się odznaczało, był pstry parawanik zsuwany na żelaznym dragu, z mosiężną u góry galką, z za którego wyglądał kosmaty kufer, alembik do przepędzania wódek i toczony ze słupkami *gdańskie krosienko* na czterech *syrenach* wsparte. Obok duży kaflany niebiesko malowany piec, z szerokim na wierzchu wazonem. Na przeciwko z obu stron drzwi, przy których wisiała cynowa kropielnica, była zjednej strony szafka, w której przez drucianą siatkę można było widzieć różne słoje z konfiturami, od likworów opłatane słomą butelki i pękate flaszeczki z lekarstwami: na wierzchu zaś stał z cienką szyjką puhar piwem nalany, liczne już w sobie chwilowego łakomstwa mieszczący ofiary: dalej wielkie gąsiory papierem zatkałe z oetem i marcową wodą. Suszyły się przy nich na dużych szafirowych od cukru papierach, *kerokosz* do farbowania i rzymski rumianek. Nad szafką błyszczwały w równym rzędzie, na świeczkach zawieszono różne pęki kluczy, młotek do cukru, duże do krawieckiej roboty nożyczki i staroświeckie do fryzur żelazko. Z drugiej strony drzwi była komoda misternie wyrobiona, własność panny Kunegundy, na której stały poustawiane i najczystsiej utrzymywane cztery duże saskie filiżanki; różnemi czasami od Emilii nieboszczki wojewodziny darowane, skrzyneczka szklana z Gdańska i świeższy na przeciw karlsbadzki kubek, równie w gościńcu przywieziony. Leżały tam także, zawsze najakuratniej naprzeciw siebie, karty do *mariasza*, *sennik*, atlasowy haftowany pelami i złotem *pugilares*, *kantyczki*, świecąca stalowa do orzechów *dziadek*, i kolorowy *roratowy* stołek. Piękne tyrolskie jabłka i czerwone pomidory na przemian ustawione, garniowały brzeg komody, nad którą wisiały dwie duże, w ramki oprawne *sylwety* wojewody i jego żony. Na małym stolczku pomiędzy oknami stojącym, było ustawione małe lustro, z zwierciadlanym brzegiem w karpiową łuszczykę, na białym z rąbku nakryciu: przed nim dwie blaszane puszkę od pudru i pomady i haftowana, we środku różowym podwlececiem poduszczyka, na której leżały przypięte długimi stalowymi od fryzur szpilkami, różne sygneciaki i pierścienki w oczka, panny Kunegundy. Przy kominku, stała kanapka z stołeczkiem pod nogi, przed okrągłym stolczkiem, a na nim koszyk, zieloną kijałką podszyty, z robotą panny Kunegundy i okulary w czerwonym futerale; klapka od much; duża w czarną skórę oprawna, ze srebrną klamrą książka do nabożeństwa, i długa kokosowa ze srebrnym także medalikiem *koronka* (rózaniec).“

Jakież to obrazek szczegółowy, który wymownie cechuje mieszkankę tego pokoju i jej zajęcia. Krosienka i alembik do pędzenia wódek i likworów: konfitury w słojach i lekarstwa we flaszeczkach, świadczyły o działalności niewieściej w zakresie jej stanowiska, jako gospodyni dworu ziemiańskiego.

Autorka, z archeologiczną ścisłością każdy przedmiot wspomina, najdrobniejszego sprzętu nie pomija, bo zebrane razem, stanowią drogocenne malowidło tak dawnych mieszkań jak i przystroju ich skromnego, w którym żyły istoty godne naszego wspomnienia.

Władysław znajduje w majątku po babce odziedziczonym największy nieład, pod opieką najgorszego ekonomy; przywraca porządek i wśród tych zajęć przypadkiem poznaje Emilie—i odwiedza Topolówkę. Im więcej zbliżał się do młodej dziewczyny i rozpatrywał w tym dworze i kółku rodzinnym, gdzie życie szło pracowicie, bogobojnie, w spokoju, tem więcej czuł pociąg i nabierał przekonania, że tylko tu znaleźć może szczęście o którym marzył w samotnych chwilach.

Ojciec wprowadza go do *apartamentu* córki.

„Szedł za nim z radością młody sąsiad, mocno ciekawy zwiedzić go w przekonaniu, iż ułożenie apartamentu najlepszym jest obrazem, zamieszkałej w nim osoby. Ujrzał najprzód, mały pod krucyfiks kłęcznik, na którym leżały książka z Ewangelią, wymowne rady *Fenelona* i piękne dzieło: *O naśladowaniu Chrystusa*, tak płynnie przez Matuszewicza tłumaczone. Dalej, stała mała wyborowa biblioteka, w której pierwsze trzymały miejsce najślawniejsi pisarze narodowi, tak dawni którzy i u posteronych nawet na inie klasycznych zasłużyli, jak

i społecznymi: Potocki, Niemcewicz, Woronicz, Kropiński, Feliński, Brodziński i wielu innych, których dzieła pełne smaku i piękności do potomnych przejdą. Było tam widać Morawskiego obok Byrona, *Jana z Tęczyna* i *Pojatę*, koło romansów Walter-Skota i Coopera: *Pamiętkę po dobrej matce* i *Rozrywki dla dzieci*, obok dzieł pani Genlis i Berquina, a zaraz przy klaszkach francuzkich, szczytne ich tłumaczenie przez Osińskiego, który wszystkie ich piękności przelał w naszą mowę, i jej szlachetnym brzmieniem czasem nawet je wywyższył, nad zastarzałe francuzkiego oryginału wyrazy. Między *Wirgiliuszem* zaś i *Delilem* słusznie trzymało miejsce *Ziemianstwo* Koźmiana, te polskie Georgiki, które powabne narodowe przedstawiając obrazy, podwójnego nabywają wdzięku od harmonii ojczyznej mowy, jak odgłos zawieszony na cyprysie umilkłej lutni, dla tęsnych dzieci Syonu. Ujrzał Władysław w innych częściach apartamentu Emilii, wszystkie do malowania i robót kobiecych właściwe porządki, duży zielnik, zaczęta z batystu różę, przy wiodącym już modelu, pieszczoną na oknie wiewiórkę, smaczno gryzącą obracany w łapkach cukier, wolnego ptaszka Emilii wesoło latającego, po pielęgnowanych przez nią kwiatach; ładne ogrodnicze narzędzia i wygodny stół do pisania, na którym leżały w sałian oprawne: zbiór różnych wypisów i niemniej porządna domowych rejestrów książka. Te wszystkie szczegóły, rozwinęły przed Władysławem niewinnego Emilii życia, swobodne i użyteczne dotąd zatrudnienia. Mały stolczek, tylko ozdobiony fraszkami, w różnych czasach od siostry i matki przysyłanymi, jak gość się w jej pokoju wydawał.—Zarumienił się Władysław przypomniawszy sobie tak odmienny apartament Zofii. Cała jego uwaga wkrótce zwróconą jednak była na odsłonięty przez panią Mielnińską kończący się wizerunek wojewodziny. Ujrzał w nim z rozczuleniem Władysław, szanowne jej rysy, nieco zatarte w jego pamięci, i wypogadzający je miły uśmiech zdawał mu się oświadczeniem przez nią z nieba zadowoleniem, na widok wzrastającej w jego sercu ku Emilii miłości.“

Wychowanka wiejskiego dworu nie tylko umiejętnie pędzłem władała, znała także śpiew i muzykę, na klawikordzie leżały *Śpiewy historyczne* Niemcewicza. Na żądanie ojca usiadła przy nim.

„Zszedł księżyc (mówi poetycznie nasza autorka) miły powiew wiatru bujając gałęziami różowej akacji pod oknem rosnącej, chłód i wszystkie wonie odświeżonej deszczem natury, do pokoju przynosił. Zaczęła Emilia grać melancholiczne preludya, a potem śpiewać na pamięć ulubioną przez ojca *dumkę* Żółkiewskiego pod Cecorą. Białe jej ubranie, kibić kształtna, mała ręka po czarnych klawiszach lekko się przesuwała, igrający wiatr z pierścieniami jej włosów, srebrzyste światło księżycy jej twarz oświecające, lekko do śpiewania jakby z natchnienia otwarte usta; jej śpiew dźwięczny, tony świeże, czyste, ginące z wolna w otaczającej ją ciszy, w najśłodszym dumaniu pograżyły zachwyconego Władysława. Zdawało mu się, iż pierwszy raz słyszy śpiewanie i muzykę rozumie. Tak to żywe pierwsze miłości wzruszenie, jak melodyjne tony eolicznej harfy, niewiadomem poruszonej wstrząśnieniem, nieznaną dotąd, jakby z niebieskich chórów pochodząc, tworzą w duszy harmoniją.“

Topolówka ożywiła się prędko, gdyż i Delfina z córką przybyła. Zofia zakochana w Adolfe, drażniona coraz więcej oporem matki, nieutuliła swej miłości przed siostrą, a gdy Adolf nadjechał, otwarcie ją ojcu wyznała. Kiedy Władysław oświadczył się o rękę Emilii, poszedł żonie o tem donieść, a zarazem i o zwierzeniu się Zofii. Delfina właśnie otrzymała list z Warszawy od wojewody Mirskiego, proszący o rękę jej córki, rozmiłowany starzec ofiarował Zofii bogaty zapis. Matka całą siłą popierała sędziwego zalotnika, a gdy znalazła stanowczy opór w Zofii, która z pogardą odrzuciła jego ofiarę, w uniesieniu nierozważnym, chciała rzucić przekleństwo na nieposłuszne dziecko, gdyby jej uroczystą powagą ojciec nie powstrzymał. Po wybuchu tak gwałtownym, nastąpił przestrah, gdy ujrzała ukochaną córkę bez zmysłów u nóg swych leżącą. Zezwoliła więc na wszystko.

Wesele Emilii odbyło się skromnie i w szczupłym gronie bliższych przyjaciół. Pałac w Brzozowie oczekiwał na państwa młodych; gościńce jego wro-



ta otwarły się na nowo jak za życia czeigodnej wojewodziny.

Nazajutrz po ślubie, uszczęśliwiony stary Tomasz, w karmazynowym żupanie, w perłowym kontuszu, żółtych butach, i tryumfującą panną Kunegunda, w obszernym materyalnym papuzim robronie, w żółtogorące goździki rzucając, przyjmowali na czele wszystkich Brzoznowskich ludzi nową swoją panią.

Na żądanie hrabiny a ciotki Delfiny, w towarzystwie zaufanej służącej Zofia wyjechała do Warszawy, gdzie miały się jej gody weselne okazałe odbyć, gdyż matka dla kąpeli pozostała w Topolówce. Po świetnej zabawie w Łazienkach królewskich, gdzie przedstawiano melodramat: *Pani Jeziora*, ułożony ze znanego poematu Walter-Skotta, w tłumaczeniu Sienkiewicza (Karola z Kalinówki); po szalonych tańcach, z zaziębienia wpadła Zofia w śmiertelną chorobę i wkrótce zmarła. Tak Opatrzność rychło ukarała nierozważną matkę, która jej przekleństwem swoim zagroziła.

Pan Sławiński widząc złamaną żonę takim ciosem, lubo sam rozpaczą przejęty, wyjechał z nią zagranicę.

Doznane nieszczęście jest najlepszym nauczycielem: w końcu też tej pierwszej powieści Jarańczewskiej, widzimy zupełną zmianę w Delfinie. Polubiła zacisze wiejskie, ukochała serdecznie wnuczkę swoją, a córkę Emilii, małą Jadwisie; pod uczuciem miłości prawdziwej, dobre w niej przymioty odżyły, stłumione złem wychowaniem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

**Emanuela Geibla**

przełożył z niemieckiego

**Józef Grajnert.**

(Dokończenie)

### Scena 4.

Ci sami.—Torkwat.—Zaraz potem Hiram.

SCYPIO

Co tam? Są nowiny?

TORKWAT

Przysłał mnie Leliusz,—radosną ogłasza  
Wieść przez me usta. Cyrta nasza,  
Orzeł nasz wzbil się ponad jej ruiny.

SCYPIO

Zburzona?

TORKWAT

Popiół z królewskiego grodu;  
Lecz nie my winni. Ot, kobieta z rodu  
Barkasa, pożar w nim wszczęła, szalona.  
(*Hiram podczas ostatnich słów wchodzi i rzuca  
się na ziemię przed Sofonisbą*)

SOFONISBA

Tamara!

TORKWAT

Prawda niech będzie stwierdzona  
Z ust tego chłopca, myśmy wraz widzieli  
Czyn, który ganiąc, trzeba czeić, wyznając.

SCYPIO

Mów!

SOFONISBA

Gdzie Tamara?

HIRAM

Gdy się dowiedzieli

Libijczykowie, że się nie udaje  
Plan Massynissie, zniechęceni z placu  
I z mostów zbiegli,—wtedy to kapłanka  
Skrzoń osłoniwszy, wpadła do pałacu.  
Przecuciem gnany, pobiegłem z krążanka  
Za nią; w cedrowej sali błada stała  
Jak obraz śmierci, a pochodnię miała....  
Widziałem w koło skarby rozrzucone  
Świątyni, mnogie naczynia święcone,  
Tysiąc kadzielnic—złote i śpiżowe,  
Obok kadziła, myrra, sandałowe  
Drzewo, w olbrzymich stosach zgromadzone.  
Tam z nad dywanów bogini wzniesiona  
Stała, w słońcовой kości wyrzeźbiona,  
Miała obsianą gwiazdami zasłonę.  
Ale dziewica wciąż do góry głowę  
Trzymała, jakby tam w próżni rozmowę  
Wiodła z duchami... W tem okrzyk radosny  
W dziedzińcach zamku z odgłosem trąb zgodnie  
Oznajmił rzymskich kohort tryumf głośny.  
Jam wtedy przypadł, błagał ją, by zbiegła;  
Lecz mnie odparła lewicą, pochodnię  
W stosach zapasów nurzając, zażęgła  
Wonna żywicę i szlachetne drzewo.  
Za chwilę płomienią zawichrzył u góry  
I szalał w sali na prawo i lewo;  
Żar, spieka zlały się z dymnemi chmury  
Korzeni, tak, żem cofnął się zdurzały.  
Ona zaś z kłębow, które już obwiał  
Ołtarz obłokiem, śpiew swój srebrnobrzmiący  
O bogach starych łabędzim nuciała  
Głosem, a wprzód na stos gorejący  
Jakby w ofierze wieniec swój rzuciła,  
Potem rozwiawszy włosów swych pierścienie,  
Rozwarła dłonie i padła w płomienie.

SOFONISBA

Och! siostrzo moja!

HIRAM

Mignęła mi w dymie  
U stóp bogini jej szat błyskawica;  
Potem uciekłem, a za mną w olbrzymie  
Słupy ogniste, pod niebo, dziewica  
Strzeliła, w gruzach grodu pogrzebiona.

SOFONISBA

Wierna do śmierci!—Och, czemuż mnie ona  
W ten sposób uczy!

SCYPIO

Dzięki, kapitanie,  
Za twe poselstwo.—Do jutra!  
(*Torkwat odchodzi.—Hiram, odstąpiwszy, staje  
u wejścia —Scypio zwraca się ku Sofonisbie*)

Czuwanie

I ciebie zmogło! Kres ma wszelka siła,  
Za wiele-s w jedną tę noc doświadczyła.  
Wróć pod swój namiot! Balsamiczne tchnienia  
Spokoju we śnie zsyłają ci nieba.  
Po tylu burzach spoczynku ci trzeba.

SOFONISBA

Tak, trzeba spocząć i tego wytchnienia  
Poszukam, tylko słowo jeszcze wprzód  
Ostatnie daj rzec z duszy mej skrytości;  
Wyrzec je muszę dla ulgi.... osłody....  
Nim noc mię w sennie otuli błogości.  
Chcesz mnie posłuchać, Scypio?

SCYPIO

Mów!

SOFONISBA

Niebieskie  
Bogi mnie, oto, dziwnie wychowały.  
Z królewskim rodem i serce królewskie  
Mi dając, przysługę dolę mą wskazały.  
Ono mi wzniosłe lecz samotnie biło;  
Trawiąc się, z bogactw swych nadmiaru chore,  
Za sercem sobie podobnym tęskniło.  
Więc wszelką w życiu łamałam zaporę,  
Wciąż go szukając, zwodziona,—aż wreszcie  
O wszystkim, co mi przecucie wieściło,  
Zwątpiłam, smutna. W tem ciebie znajduję:

Rozkosz, strach—w piersi te weszły niewieście,  
Gdyż się marzenie mej duszy ziściło.

SCYPIO

Co mówisz?!—

SOFONISBA

Myśli, wstecznych nie miej! Czuje  
Swą godność, Scypio! Tylko, żem się zrzekła  
W życiu wszystkiego, śmiem więc użyć mowy,  
Jakbym się tam już w szaty z chmur oblekła.  
O! gdybyś nie był w krainie Tybrowej  
Zrodzon, lecz w dzikim Atlasu parowie,  
I jak dziś przyjaźń mi swą dał, mej doli  
Mogliby wszyscy zazdrościć bogowie!  
Lecz gdy tak nie jest, nie mię nie zniewoli  
Chwyć dłoń, którą śmiertelny wróg ludu  
Mego mi daje. Ów ptak, pełen cudu,  
Któregoś wspomniął, nie w ziemskim padole,  
Lecz śmierć i życie ma w lotnym żywiole.  
Zaś nas zrodzonych z prochu, wiecznie gniecie  
Kłątwa ojczyzny. Są prawa krwi w świecie,—  
Praw tych się żaden duch nie wyprze prawy.  
Kocham cię żarem najczulszej kochanki,  
Lecz gdyś Kartagi zburzył złote blanki,  
I wrzucił w morze, czyż za takie sprawy  
Mam ci być rada? Mam w tryumfu szaty,  
Które krew braci mych farbi w szkarłatny,  
Z tobą się okryć? i proch ojeów w grobie  
Kopytem twoich rumaków wruszony,  
Jak te Menady w rozpuszcie szalonej  
Złopać z puharu? O! samemu tobie  
Jabym szkaradą była. Więc bądź zdrowy!  
Idź, gnany dumą, w tór zwycięstwa nowy,  
I wieńcz swe skronie wawrzyny nowemi!  
Ja zejść nie mogę z ojców moich ziemi,  
A dług mój tak jej płacę—

(*Przebija się*)

SCYPIO

Stój! na Boga,

Na wszystkie bogi—

HIRAM

(*Nadbiegając i podtrzymując Sofonisbę*)

Biada! Pani droga,

Coś uczyniła!

SOFONISBA

Żegnajcie na wieki!

Kartago! Scypio!—

(*Umiera*)

SCYPIO

Zawarła powieki.

O! gdybym płakać zdołał, umiał jeszcze,  
Płakałbym gorzko!—

### Scena 5.

Ci sami.—Leliusz.—Później Sewer i inni przywódcy.

LELIUSZ

Nowinę ci wieszczę

Ogromną—

(*Spostrzega Sofonisbę*)

Cóż to? Przez bogi wieczyste,  
Jak krwawy obraz! Czyż widzę, zaiste  
Śmierć Kartaginki?

SCYPIO

Cicho, to wybrany

Przez nią spoczynek.—O, Leliuszu, wzniosła  
Tu leży odrośl lilii złamanej—  
Gdyby mi była taka w Rzymie wzrosła,  
Największy tryumf za tobym darował.

(*Odwraca się wodząc dłońią po czole*)

Dosyć!

(*Wchodzi Sewer, za nim cisną się inni przywódcy;  
zasłony namiotu odkryte. Wschodzi zorza poranna*)



## SEWER

Do broni, Scypio! Gońca mamy  
Wprost z Hadrumetu. Na brzeg wylądował  
Hannibal!

## SCYPIO

Toż cię, stary lwie, witamy!  
Znajdziesz tu orła!

(Do Leliusza)

Tobie skarb ten drogi  
Powierzam, bracie. Niech strawią płomienie  
Skarb jej znikomy. Reszta w boskie progi  
Już na wieczyste wzbija się istnienie.—

(Do innych)

W surmy wojenne zatrabieć! Ruszamy  
Spieszonym pochodem do Zamy.

(Zasłona spada)

## KONIEC.

## HISTORIA

## O JANASZU KORCZAKU

## I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Jeśli pani Miecznikowa rozkaże, byłem jaką  
taką siłę miał, ja na Gródku zostanę.

Jadzia drgnęła cała, zacerwieniła się mocno,  
groźnie spojrzała na Janasza.... on oczy spuścił. Zbo-  
ińska nie odpowiedziała nic.

— Jabym za tem wotował—dodał Duleba, dał je-  
gomość pan Korczak i mężstwa i roztropności dowo-  
dy. Dla młodego tu miejsce, a gdy, Bóg da, król  
jegomość nam powróci rozprawiwszy się tam z Tur-  
kami, możemy mieć z nimi harc — co się zowie! Po-  
le do popisu nie może być lepsze....

Miecznikówna, którą wejrzenia Kasztelanica prze-  
śladowały, ustąpiła nieco zarumieniona i niespokoj-  
na.... Janasz wysunął się powoli i powlókł na górę.

W izdebce swej nie znalazł już Agafii, ale nato-  
miast Nikite, który postawszy sobie wiązkę słomy,  
wyciągnął się na niej na dobrze zasłużony odpoczy-  
nek. Zobaczywszy Janasza zerwał się wprawdzie,  
lecz go uprosił przybywający, aby się dla niego nie  
podnosił.

— To prawda—rzekł Nikita, że kości bolą stra-  
sznie, bośmy tych kilkanaście godzin nie próżno-  
wali. Dopiero teraz człek czuje, że go i belka nie-  
jedna przytłukła i rany swędzą i ręczyńska bolą.  
Przyznam się panu, ciężka była sprawa—a no, teraz  
gdy przeszła, aż się dusza raduje, na całe życie bę-  
dzie co wspominać i mówić o czem. I mnie to jesz-  
cze nic, ale co to będzie z paniczem?

— Jak z tobą, mój Nikita, nie — przejdzie i pogoi  
się a zapomni.

— Nie, nie zapomni, mruknął dworak. Straszna  
to dziec, ślepią jak u kotów błyszczą, zęby, al a!  
Nikita oczy zatulił.

— Terazby co rychlej panią i panienkę ztąd rato-  
wać, dodał. A co będzie z zamkiem kiedy, słyszę,  
Dorszakowi łeb ucieli.

— Może ja tu zostanę—szepnął Janasz. Dworak  
się porwał.

— To nie może być! al nigdy w świecie! Jejmość  
i jegomość kochają was jak syna, panienka jak bra-  
ta, gdzieby zaś was mieli na tej pustyni zostawiać  
na pastwę tej dzicy.

— Żołnierz jestem—rzekł Korczak, wojować mu-  
szę—a w Mierzejewicach zgnuśnieję.

Nikita potrząsał głową. Drzwi się otworzyły;  
weszła Agafia z włosom rozpuszczonym jak obłą-  
kana. Stała w środku izby i obejrzała się.

— Pochować go trzeba! rzekła.

Janasz i Nikita słuchali w milczeniu.

— Pochować go muszę—dodała i zwróciła się do  
Nikity.

Dworak zwlókł się, choć stękając.

— Weźmiemy ludzi i przyniesiemy ciało.

Agafia potrząsała głową i zwróciła się ku drzwiom.

— Chodźcie—rzekła—ja zapłacę.

Otworzyła drzwi i oglądając się wyszła. Janasz,  
którego litość brała, wstał także. Poszli za nią,  
a z dziedzińca zabrali jeszcze dwóch ludzi.

Z okna zaś zobaczywszy Agafię Duleba, zbiegł  
także i przyłączył się do nich.

— Trzeba wziąć księdza—odezwał się. Kobieta  
jakby nie słyszała, nie zwróciła się ku niemu; po-  
tem tylko potrząsała głową. Szli więc dalej. Po-  
nieważ przez parów przebrnąć było trudno, Ni-  
kita w lewo zobaczywszy czółno, które Tatarzy tu  
zostawili, odwiązał je i siedli doń wszyscy. Agafia  
ciągle milcząca, zamysłona, patrzyła w miejsce, gdzie  
ciało leżało. Około trupa stały głodne psy z mia-  
steczka, zakryła sobie oczy.

Gdy wysiedli na ląd zaczęła isć znowu na prost.  
Na widok ludzi psy szekając poodbiegały, ale ka-  
łuża krwi była wypita i na szyi nieszczęśliwego  
znać było zęby głodnych zwierząt.

— Tu—rzekła krótko Agafia, siadając i wskazu-  
jąc palcem. Tu—

Ludzie, którzy mieli rydle z sobą, kopać zaczęli  
w milczeniu. Duleba stał nie już nie mówiąc i pa-  
trząc z politowaniem na kobietę.

Szybko dół się coraz głębiej otwierał.... Ludzie  
powskakiwali weń co prędzej wyrzucając ziemię.  
Wszystkim przykro było patrzeć na Agafię, która  
suchych oczów od ciała odwrócić nie mogła. Wi-  
dać było, że dopełniała obowiązku, że grzebała bo-  
lesną przeszłość—ale cierpiała nią jeszcze....

Gdy grób wybrany był głęboko.... obejrzała się  
do koła, jakby szukając całuna, którego nie było.  
Duleba, który czuł jej boleść i zrozumiał wejrzenie,  
zrzucił burkę z ramion i podał ją ludziom.

Obwinęto w nią ciało. Agafia wstała.... zbli-  
żyła się nad brzeg dołu. Trup okryty burką  
spuszczał się do grobu, gdy brzęk jakiś zwrócił  
uwagę kopaczy. Jeden z nich włożył rękę pod bur-  
kę, namacał trzos i odpiawszy go rzucił zwolna pod  
nogi kobiety, która go nie podniosła.

Spuszczono ciało na dno.... Pierwsza Agafia wzię-  
ła oburącz ziemi i rzuciła ją na nie. Siadła potem  
na dawne miejsce. Trzos podniósł Duleba widząc,  
że nikt o nim nie myśli. Zaczęto sypać mogiłę, ka-  
żdy się przyłożył do niej. Milezeli wszyscy.... Gdy  
się dół zrównał, zdawało się ludziom, że było do-  
syć, Agafia żądała, aby sypali jeszcze i rzuciła garść  
pieniędzy z kieszeni.

Otaczający ją patrzyli na siebie i na nią—nie po-  
ruszyła się. Kurhan był już nie mały, Duleba ski-  
nął by przestali. Jakby przebudzoną ze snu wziął  
Agafię za rękę.

— Gdzież? dokąd? spytała.

— Wróćmy.

— Do rodziców! tak! odwieziesz mnie do matki!  
tam!—wskazała ręką.

— Gdzie zechcecie.

Odwróciła się raz jeszcze do mogiły, okiem potę-  
czyła do koła.

Duleba przestraszył się, słysząc ją nagle śmiejącą  
się dziko, ale po chwili śmiech ustał.

— Tak—skończyło się—rzekła.

Zwróciła się do mogiły.

— I to już niepotrzebne—odezwała się wyjmując  
nóż z zapasa, który w świeżą wbiła ziemię.... Spu-  
ściła głowę, dając się prowadzić bezwładnie.

Wszyscy powoli szli za nią.

Straszny wyraz jej twarzy, czarne rozpuszczone  
włosy, zapadłe a błyszczące oczy, dziwnie ściśnięte  
usta, pomarszczone czoło, obwisłe ręce, suknia  
oszarpana, obudzały litość w patrzących. W mil-  
czeniu odprowadzono ją na zamek i oddano pod  
straż Horpynce.

Pułk p. Duleby, a raczej oddział piechoty i trochę  
konnicy którą dowodził, położył się obozem pod  
zamkiem, obwarowując stawem z jednej strony, z in-  
nych wozami i ostrokołem na prędce zarzuconym.  
Miecznikowa czuła się w obowiązku wybawicieli  
swych nakarmić i napoić, a w zamku wszystkiego  
brakło. Musiano więc prosić Dulebę, aby kilku lu-  
dzi wysłał za potrzebnymi zapasami, na które zna-

czną sumę wyznaczyła p. Zboińska. Oprócz tego  
szeregowi dostali wszyscy podarek pieniężny. Lu-  
dziom z miasteczka dopomóż było potrzeba. Krzą-  
tano się około wszystkiego, a na wieżycze w salce  
pełno było ciągle wchodzących i wychodzących.  
Gospodarowała sama pani, po części też córka, po-  
magał Janusz i Nikita.

Kasztelaniec zaś skorzystał ze zrzeczności, aby się  
zalecać pannie. Matka udawała, że tego nie widzi,  
ale widocznie była rada. Jadzia zmuszona przy-  
mować grzeczności, potroszę odpowiadać na nie,  
czyniła to okazując małeńkie zniecierpliwienie. By-  
ła jeszcze tak szczerem i naiwnem dziecięciem, że  
z uczuciami swemi dla przyzwoitości wcale się tać  
nie umiała.

Chłód jej nie zdawał się nic a nie zrażać Jabło-  
nowskiego; dotknięty nim był, ale tem mocniej sta-  
rał się go zwyciężyć. Opowiadał wesołe przygody  
dworskie, bawił jak umiał i uśmiech czasem wywo-  
ływał na usta.

Janasza nie było w salce, gdyż ciągle za czemś  
chodzić musiał, posyłała go Miecznikowa. Tak  
upłynął czas do wieczora. Zmierchało się, a ruch  
na zamku nie ustawał, ludzie wchodzili i wycho-  
dzili, ci, co brali udział w obronie, dopiero teraz  
dziwy o niej mieli do opowiadania. Janasz właśnie  
wybiegł był z poselstwem jakimś na dół, gdy po-  
słyszał kroki za sobą. Jadzia szła za nim i zawo-  
łała nań głośno.

— Czekał—proszę.

Stała Korczak chcąc ją przepuścić przez wscho-  
dy, ale się zatrzymała.

— Mam do was wielki żal—zawołała:—Jakieście  
mogli pomyśleć tu zostać?

— Panno Miecznikówno, tu czy gdzieindziej,  
wszak trzeba raz opuścić Mierzejewice.

— Dlaczego?

— Aby mnie nie wyprzedzono!

— Co się wam śni? ce się wam stało? ręce ła-  
miać zaczęła Jadzia.—Któżby śmiał to uczynić!

Janasz zamilkł.

— Ja to przeczuwam—odezwał się po chwili.

— A ja wam powiadam, że nie dopuszczę abyście  
tu zostali. Padnę dziś jeszcze do nóg matce. Ale  
to nie może być!

— Zrobie, co mi każą — odpowiedział Janasz  
wstrzymując się.

Oczy Jadzi iskrzyły się—podała mu rękę.—Jesteś  
mi bratem, pamiętaj! nie zdradz mnie, ja potrzebuję  
cię mieć przy sobie. Proszę ani myśleć o tem i być  
posłusznym. Dokończyła szybko, ściśnięła go za  
rękę i powróciła na górę, Korczak potarł czoło, za-  
cisnął usta, poszedł do swych ludzi....

Gdy się ściemniło, wszyscy powoli rozchodzić się  
poczęli. Pożegnał Kasztelaniec Miecznikową, Dule-  
ba także, a że w budynku, którego dach był spalony,  
na dole niektóre izby zostały nietknięte zawalonym  
dachem i sprzęt w nich było dosyć — oba się tam  
na nocleg udali. Agafia także zajęła część dawnego  
swojego mieszkania.

Tytuń i cybuchy nawet po dawnym gospodarzu  
znaleźli tu jeszcze goście.... a sofy za wygodne stu-  
żyły postanie. Duleba chodził zamysłony i daleko  
uparciej milczący niż kiedykolwiek bądź, Kasztela-  
niec za to był gadatliwy i wesół jak nigdy. Dobrali  
się więc bardzo dobrze.

— Pułkowniku! wołał wyciągając się z rozkoszą  
Jabłonowski, winienem ci więcej niż sądzisz, winie-  
nem dozgonną wdzięczność.

Duleba stanął:—Za co, za guzy?

— Ale, gdzież zaś! Zakochałem się, krzyknął  
Jabłonowski. Pułkowniku, od zmysłów odchodzę!  
Dziewczyna....

— Jaka dziewczyna? gdzie?—odparł Duleba ozię-  
ble.

— Miecznikówna!

— Dziecko.

— Piękne mi dziecko! lat ośmnaście. Diana! mó-  
wię ci posąg! piękność! bogini! cud! anioł! Wyrazów  
niemam! Oczy! Widziałeś oczy? Usta! chyba ust  
jej nie uważałeś.

— Ale, patrzyłem na nią — rzekł Duleba — i nie  
widzi mi się, aby to było coś osobliwszego nad in-  
ne niewiasty! Gdybyś był kasztelaniec widział tę  
kobietę.... tę.... p. Dorszakową, gdy była młodą, do-  
piero piękność była, a dziś? przy tym grobie. Co  
to za postać? Co to za wejrzenie! Mrówki po mnie  
chodziły. Królowa jeszcze dziś królowa!



Jabłonowski się rozśmiał, pułkownik oburzył.

— Ze wszelkim respektem dla kasztelanickiej waszej mości—odezwał się sucho, nie macie smaku!

— Ale ja ją widzę jak ona jest dziś w tej odartej sukni, z rozpuszczonymi włosami, a pan pułkownik—jak kiedyś była.

— Ale dla mnie — z respektem.— Miecznikówna dziecko, i po wszystkim.

— Bo się nie znasz pułkowniku! odparł Jabłonowski i począł żywo: Jak mi Bóg miły, rodzina dobra, majątność znaczna, panna urodziwa, sama Opatrzność mi ją zaswatała, gotówem się żenić.

— Tak! tak! jeśli p. Kasztelan i p. Kasztelanowa i cała rodzina pozwoli... a, w dodatku jeśli się Miecznik zgodzi.

— A toż co? Miecznikby miał mi jej odmówić? mnie? Jabłonowskiemu.

— *Ex ducibus Prussiae*, dołożył Duleba kłaniając się—a no, powoli. Z respektem, Miecznik córkę kocha, jedyne dziecko, bardzo mu to pochlebiać będzie gdy się z nią Jabłonowski ożeni, lecz—szlachcianka w pańskim domu! Los nie do zazdrości. Będą na nią zawsze koso patrzali. Ojciec o tem myśleć musi.

— Matkę będę miał za sobą, już to widzę—zawołał Kasztelan — dobra, miła kobieta i *hic mulier*. Gdy ona zechce.

Duleba głową pokiwał, stanął naprzeciw Jabłonowskiego i rzekł, długą swą wyciągając rękę.

— Z respektem, życzyłbym naprzód wypróbować afekt, bo to być może ogień płomienny, a przytem co też panna powie na to!

— Tu sęk! rozśmiał się młody, a! pułkowniku, nie chwalcę się, gdzież tak łatwo drugiego, coby ze mną poszedł o lepszą, znajdzie.

— A! z respektem!—co powiedziecie na to przyszłowie—*de gustibus non est disputandum?*

Jabłonowski poświstywać zaczął, a Duleba chodził wielkimi krokami.

— Cobyś Kasztelanicki powiedział na to gdybym ja się z nią ożenił?—zapytał.

Jabłonowski się porwał.—Z kim? co, waszmości?

— A no, z wdową, to moja pierwsza, to jest, tak jak pierwsza miłość, prawie pierwsza, bo tam tych kilka głupstw młodzieńczych liczyć się nie powinno.

— Ale łysina i szron!—zawołał Kasztelanicki.

— Pod hełmem, to wiadoma rzecz, łysieje się i siwieje prędko, ona też ma lata stateczne—i ja kocham ją, jak mi Bóg miły.

— A ona was?—panie pułkowniku — spytał mszcząc się Kasztelanicki.

— No—nie wiem, ale dalipan nie ma nie lepszego do roboty, rzekł Duleba. Jest tam gdzieś kawał ziemi, znajdzie się trochę grosza, czas by już dostać *panem bene merentium* i—żyło by się.

Kasztelanicki nieznacznie ramionami ruszył.

— W tem sęk, że rodzice jej w Kamieńcu, a Kamieniec w ręku Turków i koniecznie go wprzód odbić potrzeba!

Westchnął.

Ja jej odprowadzić do rodziców, jak sobie życzy, nie mogę, kończył Duleba, Turcy by mi łeb ścieli jak makówkę, znają mnie i nazywają, Mirza Dulbi, a oprócz tego, paskudne dodatki czepiają. No! pogany zwyczajnie.

Kasztelanicki, który wcale się nie zdawał słuchać, co tamten mruczał—wtrącił nagle:

— Ja gotówem odprowadzić je, choćby za Konstantynów. W podróży będę miał sposobność się zbliżyć — a kto wie — może matce przyznać się do afektu.

— Co nagle, to po diable! mrknął Duleba—afekt, afekt, a on dopiero wczoraj się urodził.

— Waćpan, panie pułkowniku, na tych sprawach się nie znasz.

— Tak! tak, z respektem, łysy i siwy, żebym nie miał doświadczenia.

Nie mogli się porozumieć.

W ciągu rozmowy wreszcie leżący na sofie Kasztelanicki zdrzemnął się, a Duleba siadł fajkę palić, w szerokiej dłoni tuląc czoło i zasnął.... Cybuch mu się wysunął, głowa pochylała w tył, chrząkać począł.

W sąsiednim pokoju słychać było ciche kroki, Agafia chodziła po nim noc całą.

Na wieży, gdy się rozeszli wszyscy, i Miecznikowa także odprawiając modlitwy, siadła spocząć. Jadzia w kątku przez ciemne okno patrzyła na noc czarną. Smutną była. Parę razy wejrzenie matki padło na nią.

— Jadziu! zawołała—czas by ci pójść odpocząć, biedne dziecko—o czemżeś się tak zamysliła?—chyba o pięknym Kasztelanicku....

Zerwało się dziewczę piorunem.

— A! krzyknęła—ja, o nim!

— Przecież kawaler co się zowie! galant i męzny, dworak i żołnierz, imię piękne, prozapia znakomita, a jabym, przyznając się, nieczego nie życzyła więcej, jak takiego męża dla ciebie.

— Na to, matuniu, dość będzie czasu. Samiście mnie mówili że nie radzibyście młodo wypędzać z domu, po cóż?

Miecznikowa zatamowała dalszą mowę uściskiem, ale szepnęła?

— JAKO? niepodobał ci się?

— Nie—nado wesoły i taki natrętny!

— Wiesz dlaczego? bo tyś mu się podobała! o! bardzo! widzę jak cię ściga oczyma. Nie bądź—że dlań tak surową.

Jadzi się na płacz zbierało.... Miecznikowa pochmurniała, założyła ręce na piersiach, poczęła chodzić żywo.

— Dla ciebie, moje dziecko, trudny, widzę, wybór. Już to nie od dziś postrzegam, że u ciebie jak nie Janasz to nikt—to źle, to bardzo źle.

Jadzia oczy podniosła.

— Janaszek dobre chłopię, nie przeczę, ale siorota, biadak i nieokrzesany, a doprawdy aż drzę żeby ci głowy nie zawrócił. Coś ty się natroskała o niego. To źle! doprawdy, to źle.

Zdawało się, że Jadzi te słowa własne serce otwarły i że w nie dopiero teraz zajrzała. Zapłoniła się mocno.

— To braterskie kochanie, ciągnęła dalej Miecznikowa, już jakoś mi nie do smaku. Pókiście byli dziećmi—ale dziś!

Wejrzenie na córkę zmusiło Miecznikową do milczenia. Kochała ją nadto, by jej przykrość uczynić chciała, pomyślała w duchu, że przeciw temu przywiązaniu innych środków użyć należy, pocałowała Jadzię i dokończyła:

— Idź spać—nie mówmy o tem, idź spać.

Wysunęła się Jadzia — a p. Zboińska zadumała. Zamknęła potem drzwi od sypialni i kaplicy i wyrostkowi kazała zawołać Janasza.

Żywego temperamentu, nie umiała nic w sobie długo powstrzymać. Gdy Janasz powoli wszedł—usunęła się z nim w przeciwny kąt izby.

— Wspomniałeś mi — rzekła — że chciałyś na Gródku zostać?

Janasz się zaczerwienił.—Nie pragnę tego, ale jeśli będzie potrzeba i rozkaz.

— Tak, tak, jest tego potrzeba — poczęła Miecznikowa. Pieniądzy na zwerbowanie ludzi i na opatrzenie zamku dostarczę. Tak go zostawiać na łasce Bożej nie można.

Janasz milczał.

— Młody jesteś, ale dałeś dowody, że masz rozagę i męstwo potrzebne. Czemuś nie miał zostać na zamku?

— Gdy pani każe.

Miecznikowa stanęła naprzeciw i wlepiła w niego oczy.

— Z tobą mogę mówić otwarcie, bom pewna, że ty temu nie winienes—dodała. Jadzia się bałamuć. Przywiązała się do was jak siostra, a to już nie wiek do tych dziecinstw. Afekt się w jej sercu zmienił przecięż, asindziej miarkujesz sam, że tak wysoko sięgnąć nie możesz i pomyśleć....

Janasz się cofnął przerażony.

— Ale jakżeby ja śmiał!

Miecznikowa za rękę go chwyciła.

— Ja cię znam, tyś poczciwe dobre chłopię, powinienes mieć rozum za siebie i za nią. Musisz się oddalić. Ot i teraz, Jabłonowski się nią widocznie zajął, tożby to było błogosławieństwo Boże! a ona na was patrzy.... za tobą lata!

— Pani dobrodziejko! — przerwał Janasz — Bóg świadkiem duszy mojej, nie miałem grzesznej myśli. Uderzył się w piersi.

— Nie—zawołał nagle—nie — na Gródku ja nie mogę zostać. Odpowiedzialność za wielką; ja głowy na to nie mam. Jeśli łaska wasza, odpuścić mnie, a ja choć jutro sobie znajdę—gdzie się podziąć.

Mówił to z takim wzruszeniem, że Miecznikowej macierzyńskie serce zdrżało.

— Ale nie potrzeba znowu, tak.... tak się gorąco-

wać. Ja waćpanu mówię co obowiązek matki nakazuje—a nie tak pilnego niema. Pomyślemy.

— Przepraszam p. Miecznikową, zawołał Janasz schylając się do jej kolan — dla mnie pilno — to sprawa sumienia i honoru, ja o uwolnienie proszę.

Zawahała się p. Zboińska, schwyliła za głowę.

— Czekaj, nie rwij się, z wami młodem niewiedzieć jak gadać, zaraz was opanowuje gorączka.

Janasz w istocie drżał.

— Jesteś ranny, życie stawiaś za nas, a jabym cię miała teraz odprawić! Cóżby ludzie pomyśleli? Zlituj się.

— Niech mnie pani jutro wyśle do jegomości, samowtór pojedę—rzekł Janasz, tam się biją.... Rozejdzie się po świecie o tym napadzie; p. Miecznikowi Bóg tam wie co donieść mogą.... rzecz prosta, że pani mnie z pismem pośle.

Głos mu drżał i jakby tłumione przerywało go łkanie.

— Ale rany twoje.

— Co tam, rany! nie boli mnie nie!—westchnął. I jakby nie chciał już słyszeć tłumaczenia żadnego, dodał żegnając się:

— Jutro będę gotów do drogi—niech pani pismo raczy tylko przysposobić—ja jadę, ja muszę jechać.

Wyszedł nim się Miecznikowa na odpowiedź zebrała. Stała długo zamysłona, łza się jej zakręciła w oku.

— Tak będzie lepiej—tak lepiej.—Gródek oddam Dulebie w opiekę, niech jedzie. Co z oczów to z myśli, Jadzia potesknij i zapomni.

To mówiąc, przypomniała sobie p. Miecznikowa Chorążego, który się o nią starał, który jej był miłym, po którym płakała i o którym.... zapomniwała także. Łza się zakręciła w oku.

— Niech jedzie, dosyć już tego nedorzecznego bałamuctwa, dosyć. Chciała się zaraz i pisać do Miecznika, lecz oczy miała jakąś mgłą zasłone. Otarła je i wstała, pisanie odkładając na jutro. Chciała drzwi sypialni otworzyć, coś się im stało, że nie dawały się odsunąć. Zwolna je cisnąc, wejrzała wewnątrz. U drzwi w jednej koszulce i spódniczce, z rękami na piersi złożonemi leżała omdlała Jadzia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Dokończenie).

Odjąwszy przeto Świętoszkowi godło religijne, które za czasów Moliera było właśnie główną przyczyną napisania sztuki i jej sukcesu—jeszczebyśmy podziwiać musieli głęboko obmyśloną architektonikę psychologiczną charakterów Tartuffa. Jestto dusza obłudnika, która się nigdy nie zdradziła niczem, gdyż jeżeli schwytanym zostaje na gorącym uczynku w akcie IV, to jedynie przez podstęp prosty i grubo, tak dalece grubo, że się go zbyt przebiegły Tartuffe domyślać nie mógł,—a jeżeli odrazu gdy się pokazuje na scenie, już go wszyscy znają dokładnie, to dlatego, że fałszywy jego charakter *odgadnięto*. Lecz on sam niema żadnego powiernika, nie zwierza się nikomu, bo w nie i nikomu nie wierzy; — ufa tylko w swoją sztukę udawania, w chytrność i wyższość rozumu swego nad innych.

Słyszeliśmy na przedstawieniu zdania, że tak ochydnie przedstawiony człowiek, nie istnieje. Gdyby i tak było, w co wątpić trzeba, niestety — to jeszcze nie obciąża to niesmiertelnego twórcy komedii. Uosobiwszy bowiem w Tartuffie występki fałszu i hipokryzji, nadał mu wszakże ludzkie cechy śmieszności, którą wskazuje zakryciem piersi Dorynie, czy oświadczeniami strzelistemi do Elminy, — dopiero w akcie V odkrywa się w całej nagości z nieczym swoim charakterem. Ale ponieważ i tu autor zaradził natychmiast wykonaniem kary polecanej przez króla, więc i w tej mierze zaspokoił obawę trwożliwych o pozostawienie występku bez kary.

Ten piąty akt wszakże, napisany w wyraźnym celu wyszukania sobie obrony u przepotężnego króla, w obec nieprzebiegającej w środkach kabały, zaszkodził jednolitości dzieła i ubliżył mu nawet



ze względów tak psychologicznych jak i artystycznych.

My nie współcześni, wolelibyśmy iżby Orgon nie powrócił do majątku, który oddał tak lekkomyślnie Tartuffowi, wolelibyśmy także, iżby kara, jeżeli już ma koniecznie nastąpić, w inny sposób dotknęła Tartuffa. Opatrzność sceniczną, występującą tu w osobie króla, wybornieby nam zastąpiła pogarda powszechna, która w oczach widza, mogła dotknąć śmiertelnie, takiego nawet łotra, jakim jest Tartuffe. A jakkolwiek opinia publiczna, za czasów Ludwika XIV nie była tak wpływowa jak dzisiaj, to jednak ludzie, którymi ogół pogardził, od których każdy odwraca się ze wstydem, po wszystkie czasy przestają być szkodliwymi dla sfer społeczeństwa, wśród których dotychczas działali.

Jest to tylko nasza uwaga podyktowana dzisiejszemi na świat poglądami, a przydatna dla kogoś chyba, któryby na wzór Gutzkowskiego pomysł Molierowskiego Tartuffa na społecznych oparł warunkach, ale to niezawodna, że pogląd taki unowocześniając tę postać, byłby jej zapewnił większe zajęcie się dzisiejszej publiczności.

Inne postacie, jakkolwiek narysowane bardzo logicznie i pełne życia, służą wszakże tylko do wydania i skoncentrowania całego światła na postać główną.

\* \* \*

Powodzenie sztuki Molierowskiej na warszawskiej scenie, wydaje się nam, wyznajemy otwarcie, wątpliwem. Najprzód dla tego, że jakkolwiek zarzut: „przestarzała“, jest w każdym razie zbyt absolutny, przecież bądźco bądź zaprzeczyc się nie da, — o czem mówiliśmy już niejednokrotnie — wykazując że świat dzisiejszy, wręcz inaczej usposobiony, rozgorączkowany kwestyami społecznymi i moralnymi najwyższej wagi, nie łatwo się zaprzęga do cierpliwego słuchania sztuki, obracającej się około spraw nieobchodzących go już żywo i bezpośrednio.

Ludzie tylko wykształceni zdolni są rozkoszować się w obiektywnym spokoju arcydziełem sztuki, które jako takie, nieprzywiązane jest ani do narodowości, ani do czasu ani do przestrzeni. Lecz o tem arcydziele śmiało powtórzyć można za Pironem: „Si le Tartuffe n'était pas fait, il ne se ferait jamais“, w tem znaczeniu, iż stworzenie go w owej epoce było koniecznością, wynagrodzoną słuszenie. Gdyby jednak Molier nie był wówczas pomyślał o Tartuffie, byłaby i chwila sposobna minęła i nikt inny nie byłby się był o to pokusił już później. Tem objaśniamy poniekąd ważność chwili tej znakomitej komedyi, ważność, którą ona zawsze mieć będzie stokroć, tysiąckroć większą dla Francuzów aniżeli dla nas.

Wreszcie ludzi ukształconych wszechstronnie, jak wszędzie tak i u nas szczególnie — nie tak wiele, a większość zaś tylko jak wiadomo — zwykła zapełnia teatr.

Drugim względem, niemniej ważnym wpływającym na uczęszczanie publiczności — jest gra artystów.

Otóż nie można powiedzieć, iżby grze tej w całości w „Świętoszku“, można coś zarzucić, — owszem była ona staranną u wszystkich i widocznie opartą na pracy przygotowawczej. Ale w dziełach Molierowskich, to jeszcze chyba nie dosyć.

Dzieła te wymagają, rzeklibyśmy innej tradycyi, gdy tymczasem obecne pokolenie artystów, przywykło do przedstawiania charakterów drastycznie i nerwowo.

A nareszcie wiele tu zależy od postaci głównej sztuki, od samego Świętoszka. Tymczasem p. Rapacki charakter ten pojął jednostronnie.

Podnoszenie ciągle oczu w niebo, przewlekane głośnie nujące, jednym słowem udawanie tak blahe, że na niem musiałyby się poznać nawet tak ograniczony człowiek jak Orgon, — nie dowodzi, iżby utalentowany artysta, głębiej był obmyślił charakter. A czyż to zgodza się z prawdą, że Tartuffe, gdy zostaje sam na sam z żoną Orgona, nie obawiając się natrętnych świadków, nie lękając się puścić wodzy rozkielznanej swej namiętności — nawet wtedy jeszcze, wznosi oczy do nieba, przeciąga obłudnie i prawi obrzydłe a lubieżne komplementy młodej kobiecie, ciągle tym samym przybrany tonem obłudnika?

Właśnie im więcej taki charakter w obec świata powściągać się musi, im więcej nakłada na siebie

przymusu, ażeby się z nieczem nie zdradzić, tem silniej i namiętniej wybucha wtedy, gdy już nie potrzebuje się ze stanem naturalnym duszy swej ukrywać. Kontrast ten ciągłej maski przed ludźmi, ze zdemaskowaniem się zuchwałem w sposobnej chwili, byłby doskonałe i w całej nagości odsłonił głębinę tego przepaścistego i podstępного charakteru, i tem znakomiciej uświetnił grę artysty tak rozumnie przeprowadzoną.

Cały charakter Tartuffa leży w tem postępowaniu: osłanianie się przed światem najpiękniejszymi pozorami, a wynagradzanie sobie przykrego przymusu, gdy się do tego pora zdarza. Nieinaczej scharakteryzować można wszystkich innych świętoszków. Używanie, powetowanie sobie przymusu, gdy nikt o tem dowiedzieć się nie może, — a odgrywanie cnót mających walor u ludzi, gdy ludzie ci patrzą i obserwują.

Tartuffe Moliera tak dalece wie o tem, że nigdy nie zdradza się ani na chwilę, że nie chce żadnego powiernika, że tylko liczy zawsze na swoją przytomność umysłu i wymowę, np. wtedy, gdy go złapał po raz pierwszy syn Orgona, na czulej rozmowie z jego matką. Nie wypiera się on bynajmniej ani nie przyznaje przed Orgonem, woła tylko, że jest zbrodniarzem i grzesznikiem i tem wygrywa sprawę.

Mógłby też p. Rapacki inaczej się ucharakteryzować, — nadać twarzy swej większą wesołość a ruchom większą giętkość. Właśnie gdyby Tartuffe umiał hamować wesoły swój i żądny używania temperament, czyniłoby to tem większe wrażenie. Być jednak może, że artysta ten na dalszych przedstawieniach przekonawszy się inaczej, grę i cały pojął swój zewnętrzny zmieni.

P. Ostrowski grał rolę Orgona. Grał ją wcale komicznie, z powagą ograniczonego i sfanatyzowanego mieszczucha, cokolwiek tylko wyszedł z charakteru w chwili, gdy gromy nieszczęść spadają na jego głowę, jedne po drugich. Ale scena gonienia się z Doryną, — scena pierwsza rozmowy z rodziną, oddana z komicznością, której ten artysta utalentowany, posiada zawsze zapas obfity.

P. Stolpe wziął na siebie maleńką rolę komornika, ale odegrał ją tak, jak ją grają wiecej artyści w Théâtre-français. Zdaje nam się, że więcej mówić nie potrzebujemy. Być może, że p. Stolpe pamięta jeszcze dawnych artystów, bardziej zbliżonych do epoki, w której Moliera rozumiano lepiej i powszechniej.

Wcale nieźle pomagał p. Prażmowski jako Damis, a p. Grzywiński jako Kleant grał bardzo dobrze. Z ról kobiecych, pierwszeństwo oddać trzeba pani Bakałowiczowej, która w roli Doryny, umiała połączyć figlarność, spryt i rezolucję pokojowej, będącej powierniczką wszystkich, z oznakami wielce zgrabnymi i pojętymi ładnej kobiety, która wie, że śmiała jej być wolno, bo choć jest tylko pokojową, ale natura nie poskapiła jej urody. Pani Bakałowiczowa ma nadto szczęśliwy dar przyniesienia ze sobą na scenę wesołości. Zaiste, daru tego pozazdrościłby jej mogło wielu artystów, którzy nieraz mimo najlepszej gry, nie umieją trafić na humor publiczności.

Pani Nowakowskiej w roli Elminy, nie można zaprzeczyć widocznego usiłowań wywiązania się poprawnie z powierzonych sobie roli. Ale p. Figarska, nie zadała sobie nawet tej fadygi, żeby zrozumieć co właściwie mówi. Rola jej mała, ale niezmiernie komiczna, powinna była wywołać grzmoty oklasków zaraz w pierwszej scenie, tymczasem nikt nie słyszał pani Figarskiej, i nikt nie rozumiał, czego tak długo mężczy wszystkich pani Pernelle. Efektu komicznego, które można było wybornie spożytkować, przeszły niepostrzeżenie i wielu z tych, którzy pierwszy raz słyszeli Moliera, wyszli z przekonaniem, że pani Pernelle jest najnudniejszą pod słońcem matroną.

Czy może zdawało się pani Figarskiej, że rola nie warta trudu, skoro tak mało? — Bardzobyśmy jej w takim razie żalowali.

Wiersz przekładu p. Podwysockiego — gładki, a całość wykończona poprawnie.

Edward Lubowski.

## SPRAWOZDANIE Z WYSTAWY ROLNICZEJ

(odbytej w Warszawie we wrześniu 1874r.)

(Dalszy ciąg).

Od strony szpitala Ujazdowskiego znajdowały się dwa długie pawilony, w których pomieszczono *Płody rolnicze i ogrodnicze*, tak stawające do różnych konkursów, jakoteż wyłączone od współzawodnictwa.

Niepodobna nam wdawać się w opisy pojedynczych okazów. Można tam było znaleźć wszystko, co wydaje w naszym klimacie pole, łąka i ogród, zaczęwszy od olbrzymich ziemniaków, dyni, arbużów, melonów, marchwi i buraków, aż do najpiękniejszych okazów pszenicy i jęczmienia.

W ogólności rzadko można było znaleźć, jak to przyznali bardzo kompetentni przyjezdni goście, na którejkolwiek wystawie tak piękne zbiory roślin zbożowych i okopowych, a z wystawionych okazów widać, że rolnicy nie zadawalniali się plonami wydawianymi przez krajowe ziarna, nie szcędzą usiłowań celem zaprowadzenia nowych odmian dających lepsze plony.

Pomiędzy temi dwoma pawilonami znajdował się osobny przeznaczony na *Przemysł wiejski*.

Najwybitniejsze, honorowe miejsce w tym pawilonie zajmowały ustawione w kształt pięknego pomnika *Okazy szkoły Żabikowskiej*, imienia Haliny, pod Poznaniem — należą one do zakresu nauki, nie zaś działalności przemysłowej i zaszczyt przynoszą instytucji, która z niemi wystąpiła świadcząc pochlebnie o wytrwałej pracy grona nauczycielskiego tej młodej szkoły. Przedstawiały one jak najdokładniejszą monografię pszenicy, jako to: 179 okazów pszenicy w ziarnie, 160 okazów pszenicy w kłosie; okazy roślin i owadów szkodliwych dla pszenicy, oraz owadów niszczących znowu szkodliwe dla pszenicy owady; nakoniec modele wyrobione z wosku, przedstawiające rozwój ziarna pszenicznego.

W pawilonie tym mieściły się plody wiejskiego przemysłu. Widzieliśmy tam wełniaki i płótna, mąki, kasze, krochmale, terpentynę, piwo, nawozy sztuczne i t. p. Najobficiej reprezentowane były *Sery*. Okazy serów umieszczone pod kłoszami wyglądały bardzo pojętnie.

W konkursie tym przyjęło udział 5 kobiet: p. Marya Olszewska otrzymała medal srebrny wielki za sery; Emilia Brochocka medal brązowy za sery. Z dawna już uznaniem jest powszechnie, że najkorzystniejszą dla hodowcy krów jest sprzedaż świeżego mleka. Tam jednak, gdzie sprzedaż mleka z powodu zbytnej oddalenia od miast i miejsc więcej zaludnionych jest utrudniona, trzeba komicznie produkować sery i masło łatwe do przewiezienia i znajdujące zawsze chętnych nabywców. Ponieważ cena serów krajowej produkcji jest jeszcze wysoka, pożądanem by było, aby fabrykacja tego produktu powiększyła się i aby producenci ułatwiali w swym własnym interesie nabywanie serów w większych miastach, tembardziej, że niektóre gospodarstwa są w stanie dostarczać znaczną ilość tego produktu. *Masło* przedstawiło 9 wystawców, a w ich liczbie jedna kobieta, p. Huba Emilia. Szczególną uwagę naszą zwróciło wystawione przez p. Mariks z Petersburga masło przygotowane z tłuszczu bydłowego, według metody francuzkiego technologa pana Megé Mouriez. Widzę już jak prawowierne gospodynie pogardliwie uśmiechają się, przypominając obrzydliwy smak i zapach pieczeni przygotowanej na łoju, jaką, niestety, zdarza się nieraz spożywać w podrzędnych restauracjach.

Przyznając, że na wspomnienie o tem masle przypomina się nieprzyjemne wrażenie, jakie pozostaje przy jedzeniu zakrzepłego baraniego tłuszczu. W ogóle łój bydłowy zostawia masisty osad na podniebieniu. Sposób jednak p. Megé Mouriez oparty na podstawie racjonalnych badań chemicznych, polega na usunięciu z tłuszczu przez działania chemiczne tych części, które sprawiają właśnie wrażenie tego niemilego smaku, przez co łój nabiera własności dobrze przygotowanego masła. W Paryżu produkt ten zyskał u oszczędnych gospodyń uznanie i sprzedawany jest na rynkach po przystępnej bar-



dzo cenie. Nowy ten produkt technologii chemicznej sprzedaje się w Warszawie u p. Tashauer przy ulicy Karmelickiej Nr 8. Zapewne oszczędne gospodynie nie omieszkają zrobić próby z tym ciekawym nabytkiem.

Pomiędzy przedmiotami, bliżej lub dalej dotyczącymi rolnictwa, mieścił się w tym pawilonie i *Zbiór marmurów z okolicy Kielc i Checin*, dokonany przez p. Welke, budowniczego kieleckiego. Zbiór ten okazuje jak różnorodne płody mineralne kraj nasz posiada. Wprawdzie marmury checińskie nie odznaczają się wielką trwałością i wystawione na działanie deszczu i mrozu prędko się kruszą; na wewnętrzne jednak ozdoby architektoniczne i różne drobne przedmioty, z korzyścią mogą być używane.

W pawilonie tym spotkaliśmy się z wyrobami czysto kobiecemi, a mianowicie z tak zwanemi *Anderakami*, to jest litewskimi wełnianymi spódnicami, fartuchami, koszulami i t. p.

Jak nam wiadomo w niektórych okolicach naszego kraju niemieckie gospodynie noszą suknie z wyrobów tkanych własną pracą w domu. Zapewne, stanowi to znaczną ulgę w wydatkach domowych, i może niejednemu służyć za objaśnienie przyczyny, dlaczego w tym samym majątku gdzie Polak nie mógł się utrzymać, Niemiec przyszedłszy z małym zasobem, staje się majętnym właścicielem. Jeśli jednak powszechnie przyznają, że właściciele wiejscy szybko dźwigają się z upadku majątkowego, pracą umiejętnie skierowaną ku wydobyciu bogactw znajdujących się w roli, a dobroć produktów wzrasta, jak to można było widzieć na każdym kroku na wystawie; to naodwrot, niestety, trzeba przyznać z przykrością, że z nielicznymi wyjątkami, wszystkie działy gospodarstwa kobiecego wiejskiego jak sadownictwo, hodowla drobiu, produkcja przędzy, nie podnoszą się tak szybko z upadku. Na kogo za to spada wina?—osadźcie.

Przedłużenie tego pawilonu stanowił budynek przeznaczony na *Owoce*. Pomimo, że w budynku tym jako bardzo szczupłym i niskim, gorąco nieraz było nie do zniesienia, mnóstwo tam znajdowało się jednak widzów, do których smaczne okazy przemawiały za pomocą dwóch naraz zmysłów: wzroku i powonienia. Pyszne ananasy, olbrzymie brzoskwinie, morele, jabłka, gruszki, grona winne, śliwki, a wszystko w niezliczonych odmianach, wdzięczną stanowiło całość. Niezaprzeczenie pierwsze miejsce zajmowały tu okazy Ogrodu Pomologicznego. Ogród ten zostaje pod umiejętnym kierunkiem pana Jerzego Aleksandrowicza, profesora botaniki w Uniwersytecie warszawskim. Komitet Wystawy oceniając zasługi szanownego profesora, nagroził go jedym z puharów łaskawie ofiarowanych Komitetowi przez hr. Aleksandrę Potocką, dla rozdania najbardziej zasłużonym wystawcom. W oddziale tym, godne jeszcze były uwagi okazy wystawione przez braci Bardet, braci Hoser, p. Barczyńską z Łowicza, ks. Golicyn ze Starej Wsi, Ulrycha, Alfreda i Olimpię Kurnatowskich z Brudzewa i wielu innych. Pani Aniela Orkisz z Rawy przedstawiła *Konfitury i galarety owocowe*, a pan Bouquerel *Konserwy różnych jarzyn i delikatosów*. Zwiedzenie tego pawilonu wpaja w nas otuchę, że stan sadownictwa tak zaniedbanego u nas, przy pomocy chwalebnych usiłowań pojedynczych jednostek, wchodzi na nowe drogi. Wiadomo każdemu, że dotąd mnóstwo owoców na naszą potrzebę sprowadzamy z zagranicy; dowód to, że produkcja miejscowa nie dorównywała zapotrzebowaniu. A gdybyśmy zapotrzebowaniu miejscowemu mogli nastarczyć, wtedy produkując więcej, mielibyśmy przed sobą szerokie pole zbytu do północnych okolic cesarstwa, które z powodu surowego klimatu produkować owoców nie mogą.

Przed temi pawilonami rozmieściły się *Szkółki drzewek owocowych szczepionych i dziczek*, przedstawionych przez różnych wystawców, pomiędzy którymi najwybitniejsze miejsce zajmowały szkółki rządowego warszawskiego Ogrodu Pomologicznego,

oraz braci Bardet. Karłowate odmiany drzewek owocowych, obwieszane przesłicznymi owocami, szczególnie na siebie zwracały uwagę publiczności. Godne były także widzenia drzewka brzoskwińowe, którym nadano kształt płaski, najdogodniejszy do wzrastania przy ścianach, murach i parkanach. Niektórzy wystawcy jak: Ogród Pomologiczny, bracia Bardet, pp. Willman, Moszyński i inni poskładali deklaracje tak co do ilości jak i cen drzewek owocowych i dziczek wyprodukowanych na sprzedaż; ceny nie wysokie. Każdy więc mający chęć zaopatrzenia się w wyborowe drzewka owocowe, ma ułatwioną ku temu drogę.

W oddziale *plodów rolniczych* otrzymali: wielki złoty medal za pszenicę p. Zakrzewski ze wsi Staw. Pan Huba Mieczysław za okazy zbóż i roślin pastewnych, wychodzących na różnych nawozach mineralnych, puhar srebrny ofiarowany przez Aleksandrę hr. Potocką. Pani hrabina Augustowa Potocka z Wilanowa za chmiel, potwierdzenie medalu srebrnego otrzymanego w 1870 roku. Pani Balbina Ptak medal brązowy za jęczmień i list pochwalny za len. Pani Kuczyńska Joanna medal brązowy za żyto.

W oddziale *plodów ogrodniczych*, bracia Bardet potwierdzenie złotego medalu otrzymanego na Wystawie rolniczej w 1870 roku. Z wystawców kobiet p. Olimpia Kurnatowska z Brudzewa medal srebrny za okazy drzewek owocowych, sprzedawanych po niskich cenach. Pani Huba Emilia za szparagi list pochwalny; księżna Golicyn za ananasy, brzoskwinie i winogrona list pochwalny. Pani Szydłowska Eliza za ananas wychodzący na inspekie, list pochwalny. Pani Orkisz z Rawy za galarety, list pochwalny. Pani Barczyńska Magdalena za zbiór owoców wynagrodzenie pieniężne. Podziękowanie Komitetu hrabina Aleksandra Potocka za przyrzeczenie się pięknymi okazami owoców i jarzyn, do uświetnienia Wystawy rolniczej, odbytej w roku bieżącym w Warszawie, jak niemniej za popieranie rolnictwa krajowego.

Winnimy na zakończenie sprawozdania z tego oddziału wspomnieć o pięknej koleceki *Roslin aptecznych* przedstawionej przez p. Anielę Majzner z Borówka.

W konkursie za *Przemysł rolniczy*, z kobiet przyjmujących udział w Wystawie otrzymały: medal srebrny mały Marya Olszewska za sery. Listy pochwalne: Emilia Brochocka za sery; Elżbieta Brondzo za włóściańskie ubiory, Potkańska za drożdże. Nagrody pieniężne za różne ubiory: Brondzo Elżbieta; Dąbrowska Joanna; Jakóbczak Franciszka; Ludwisiak Maryanna; Bartoszewicz Ewa; Zuchwałowicz Weronika; Ostrowska Agnieszka; Rytner Henryka; Korach Katarzyna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NA WSCHODZIE,

### USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbata.

(Dalszy ciąg).

— Jak go tutaj nie znaję, to powędruję do Pekinu i tam kupię.

— Idź, idź. My tutaj korzyści nie mamy. Owszem jedź tam: sam się dowiesz jaką dają cenę. Wy myślicie, że my osiągamy wielkie zyski. Wierz mi szczerze, zysku mało bardzo, raczej straty mamy.

— Wiem po jakiej cenie kupujecie herbatę z Kałganu; przecież bardzo tanio, czy nie prawda?

— Wy, Rosssyanie, niczemu wiary dać nie chcecie.

Ja nie oszukam nigdy, jak Bóg na niebie. Pocóżbym miał napróżno mówić o cenach nieistniejących. Chcesz, sam porachuj, co mnie herbata kosztuje. Za Kałgańską herbatę czerwoną na jesień płacę za każdy cybik 18 łan, za przewóz 2 łany czyli razem 20 łan srebra, (każdy łan czystego srebra 95 próby zawiera 8,585 solotników rossyjskich, a zatem przedstawia w wartości czystego srebra rs. 2 i 5,86 kopiejek).

— O wy wszystko umiecie powiedzieć! „Straty wielkie, zysku wcale niema, zakupy musicie zrobić drogo“. I co jeszcze!

— Dla czego nie chcesz wierzyć? W samej rzeczy straty ponosimy znaczne. Na Boga! Gdyby zyski rzeczywiście dla nas istniały, toby wszyscy krajowcy stali się kupcami. Tymczasem mnóstwo naszych handlujących zbankrutowało. Tysyn-szi, Fu-czen-lun, Jun-hu-ho — wszyscy już tylko dopirywają: majątki ich ostatecznie zrujnowane.

— Po cóż daremnie, szanowny panie, wdajesz się w opowieść tych rzeczy? Jeżeli chcesz wzięść aksamit, dam ci go 82 arsz.

— Nie chęć. Ostatnie słowo?...

— Ośmdziesiąt dwa arszyny aksamitu.

— To mi *mianzia!* (pieniądze). Decyduj się prędko; im prędzej tem lepiej. Chcesz dać 95 arszynów?

— Ani myślę.

— Wola twoja. Zobaczysz, że potem będziesz żałował.

— Szkoda słów napróżno tracić. Bywaj lepiej zdrów, Chińczyku.

— Co za łotr! mówi krajowiec. I to są kupcy.

Potem się rozstają nagadawszy sobie wzajemnie dosyć opryskliwych i niegrzecznych słów.

Niesłychaną rzeczywistością jest zmiana, jakiej uległy rossyjskie słowa skutkiem używania ich w rozmowie z chińskimi kupcami i zastosowania do pojęć tych ostatnich. Tylko ten, kto przebywał w tych stronach przez czas dłuższy jest w stanie dokładnie je pojąć i wytłumaczyć. Dla tego też powstrzymujemy się od przytaczania tutaj przykładów odpowiednich.

Pomimo tego jednak w tym łamanym języku uformowanym za zobopólną zgodą kupców rossyjskich z chińskimi dokonywane były ogromne operacje handlowe na największe sumy. Używając okrągłej liczby śmiało powiedzieć można, że corocznie wydatkowano na herbatę 50 milionów rubli srebrem. Przez Kiachtyńską komorę wywożono każdego roku cłem obłożoną herbatę w ilości 400,000 pudów. Była to tak zwana herbata bajchowa i cegiełkowa. Ta ostatnia głównie rozchodziła się w zachodniej Syberii (wschodnia połowa używa prawie wyłącznie herbaty przemycanej) i we wschodnich guberniach Rosssy Europejskiej. Inne gatunki herbaty idą wszystkie do Rosssy. Ze swojej strony Kiachta sprzedawała Chińczykom około 1,500,000 arszynów sukna, 120,000 arszynów półsukienka, 3,500,000 arszynów bawełnianego aksamitu (manczestru), około 600,000 arszynów nankinu, 270,000 arszynów różnych lnianych i bawełnianych wyrobów, około 500,000 sztuk juchtowych, sofanowych i innych skór, oraz 200,000 małych zwierciadeł. Dwieście różnych fabryk i warsztatów w Rosssy istniało wyłącznie dla handlu w Kiachcie i z dochodów z takowego osiągniętych, Amerykańska kompania obdarzona różnemi przywilejami, wysyłała do Chin najdroższe i najlepsze futra, tak że dla Syberii pozostał jedynie nie prawie nie znaczący udział w tym rodzaju handlu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: **Zaczarowana królowna**, (poezya), przez El-y.— **O tem i owem**, przez Anastazyę Dzieduszycką.— **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego.— **Sofonisba**, tragedia, (dokończenie), przekład J. Grajnera.— **Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.— **Przegląd teatralny**, (dokończenie), przez Edwarda Lubowskiego.— **Sprawozdanie z wystawy rolniczej**, (dalszy ciąg).— **Na wschodzie**, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.